Minimum dozwolone poecie

Tadeusz Witkowski

Tekst wywiadu, który przeprowadziłem przed jedenastu laty z Czesławem Miłoszem (przy współudziale Bogdany Carpenter), nigdy nie był drukowany po polsku, choć rozmowa odbyła się w ojczystym języku. Nie zawiera on niczego szczególnego, o czym autor *Zniewolonego umysłu* nie mówiłby przy innych okazjach, ale właśnie dlatego, że adresowany był do czytelników angielskojęzycznych, pewne kwestie istotne dla rozumienia dzieła Miłosza, zostały wyartykułowane w sposób szczególnie prosty i łatwo zrozumiały. Prawdopodobnie oryginalna wersja tej rozmowy długo jeszcze spoczywałaby w moim komputerowym archiwum, gdyby w Polsce nie doszło do skandalicznie głupich dyskusji w związku z planowanym pogrzebem pisarza; dyskusji, w których do głosu doszły w pierwszej kolejności zła wola i ignorancja.

Miłosz dokonywał w swoim życiu różnych wyborów politycznych (niektórych później żałował). Wiadomo jednak, że nie znosił populistycznych ideologii a do literatury zdominowanej przez tematykę polityczną odnosił się z nieufnością i traktował ją wyniośle. Był po prostu samotnym myśliwym nie uczestniczącym w polowaniach z nagonką. Czy dlatego niektórzy z „nieskazitelnych" patriotów usiłowali w związku z tym odmówić mu prawa do pośmiertnego spoczynku w krypcie zasłużonych na Skałce? Założę się, że większość z nich nigdy go nie czytała. O tym, że uważał się za Litwina, wiedzieli najczęściej z drugiej lub trzeciej ręki i nie sądzę, by ktokolwiek z nich zastanawiał się nad tradycjami Wielkiego Księstwa Litewskiego. A cóż dopiero mówić o odróżnianiu krytyki nacjonalizmu od krytyki polskości. Protestującym przeciwko złożeniu prochów Miłosza w krypcie zasłużonych na Skałce nie przeszło przez myśl, że wcale nie spoczywają tam szczątki nieskazitelnych Polaków. Że owszem, znajdują się tam prochy pisarza zmarłego na syfilis, tudzież muzyka, o którego orientacji seksualnej lepiej w ich towarzystwie nie wspominać. I czy któryś z nich skojarzył, że pochowany obok, w nie mniej honorowym miejscu, bo

na Wawelu, Juliusz Słowacki kierował pod adresem Polski znacznie bardziej gorzkie słowa niż kiedykolwiek zdarzyło się to autorowi *Ocalenia*?

Chyba niepotrzebnie zabrnąłem w ironię, a chciałem tylko poprzedzić krótkim wstępem nieznaną polskim czytelnikom rozmowę z poetą. Jego twórczość poetycką (również tę niedozwoloną w PRL) zacząłem zgłębiać w latach siedemdziesiątych, ale osobiście miałem okazję poznać go, dopiero na emigracji. W 1985 roku, podczas studiów doktoranckich na Uniwersytecie Michigan w Ann Arbor byłem przez krótki okres czasu kimś w rodzaju jego asystenta. W lutym tego roku, pisarz prowadził gościnnie w Ann Arbor zajęcia z dwudziestowiecznej poezji polskiej i właśnie mnie przypadła w obowiązku ocena prac zaliczeniowych jego studentów. Mogłem więc porozmawiać o różnych sprawach w sposób bardziej prywatny, a przede wszystkim podsunąć mu do przeczytania esej o inspiracjach religijnych w jego poezji, który napisałem i opublikowałem na krótko przed opuszczeniem Polski w roku 1983. Ów kontakt zaowocował w dalszych latach skromną w rozmiarach ale życzliwą i ważną dla mnie współpracą, gdy zacząłem wydawać rocznik „Periphery".

29 października 1993 roku, na uniwersytecie w Ann Arbor odbył się wieczór poezji Miłosza. Prezentację wierszy poety poprzedziła konferencja prasowa, której przysłuchiwałem się jako jedyny chyba Polak na sali. Wspominam o niej, gdyż to, co zarejestrowałem wówczas na taśmie, dobrze ilustruje stosunek Miłosza do populistycznych ideologii w ogóle. Jak było do przewidzenia, w pytaniach adresowanych do poety skupiono się głównie na sprawach nie mających z literaturą zbyt wiele wspólnego. Gładko uczesana dziewczyna o urodzie przypominającej Simone Weil (tę tłumaczoną przez Miłosza francuską eseistkę), ciemnoskóry dziennikarz z angielskim przekładem *Zniewolonego umysłu* w ręku, młody brunet (grubo przed trzydziestką) z rozłożoną aparaturą radiową — wszyscy zaczęli od polityki. Nie pomogło wyjaśnienie poety, że nie jest wcale pisarzem politycznym, a tylko sensualistą reagującym na świat przy pomocy wszystkich pięciu zmysłów i wyrażającym swój podziw dla postrzeganych rzeczy. Nieskuteczna okazała się próba przekonania uczestników konferencji, że rozmawiają z pisarzem, który zawsze starał się zachowywać dystans wobec konfliktów społecznych i na tematy polityczne wypowiadał się w

poezji tylko w chwilach wyjątkowego gniewu. W sali konferencyjnej zapanowała atmosfera obrad sejmiku.

— *Przecież zmiany w sytuacji politycznej muszą jakoś wpływać na tematykę twórczości* — perswadowała dziennikarka o włosach Simone Weil.

— Tematem poezji jest przede wszystkim widzialny świat — uparcie twierdził pisarz.

— *Ale świat zmienił się...*

— Cóż się zmieniło? Wiosny? Lata? Zimy? Powiew wiatru? Chmury? Być może rzeki, te są rzeczywiście bardziej zanieczyszczone...

Mimo tych żartobliwych ripost prosili o komentarz na temat wyborów parlamentarnych w Polsce i zmian, jakie zaszły w okresie komunizmu w psychice narodowej Polaków. Więc pisarz wyjaśniał z cierpliwością godną męża stanu sprawy nie zawsze zrozumiałe dla samych Polaków; mówił o brutalizacji stosunków międzyludzkich ale też o tym, że dostrzega w Polsce korzystne przeobrażenia.

— Miałem nadzieję — powiedział — że po doświadczeniach II wojny światowej i komunizmu Europa stanie się bardziej dojrzała. Dziś, gdy obserwuję to, co dzieje się w Jugosławii, muszę wyrazić swój sceptycyzm. W 1985 roku moja książka *Zniewolony umysł* stała się bestsellerem w Jugosławii. Odwiedziłem ten kraj kilka razy i byłem świadkiem rozkładu doktryny marksistowskiej. Wszyscy intelektualiści, których poznałem w Belgradzie odeszli od marksizmu, ale zamiast zachować niezależny sąd, stali się nacjonalistami. To, co dzieje się dzisiaj w Jugosławii, jest rezultatem ich aktywności. Nie sądźmy, że to serbscy żołnierze są w pierwszym rzędzie odpowiedzialni za gwałcenie bośniackich kobiet. Odpowiedzialność spada przede wszystkim na intelektualistów, którzy zapoczątkowali Ruch Wielkiej Serbii. Jest to złowieszczy przykład, ale właśnie na jego tle widać w Polsce zmiany na lepsze. Społeczeństwo polskie nie jest dziś skłonne (w takim stopniu jak w przeszłości) ulegać propagandzie nacjonalistycznej i popadać w szowinizm.

— *I mamy uwierzyć, że nie jest Pan pisarzem politycznym?* — zapytała w pewnym momencie dziennikarka.

— Nie jestem — odparł pisarz. — Poruszając kwestie polityczne ograniczam się zawsze do minimum, na które może sobie pozwolić poeta…

Chyba na drugi dzień wybraliśmy się z prof. Bogdaną Carpenter do hotelu, w którym zatrzymał się pisarz. Owocem tej wizyty jest właśnie poniższy wywiad.

O odejściach, powrotach i zafascynowaniu światem widzialnym

— W zbiorze „Ocalenie" zamieścił Pan wiersz z czasów przedwojennych zaczynający się od słów: „W mojej ojczyźnie, do której nie wrócę, / Jest takie leśne jezioro ogromne". Mówi on o nieuchronności rozłączenia, ale też o więzi łączącej Pańską teraźniejszość z przeszłością. Podobnie brzmiące strofy znaleźć można również w późniejszych utworach, między innymi w wydanym wiele lat później zbiorku Gucio zaczarowany. W jednym z zamieszczonych tam wierszy pisał Pan:

Nigdy od ciebie, miasto, nie mogłem odjechać.
Długa była mila ale cofało mnie jak figurę w szachach.
Uciekałem po ziemi obracającej się coraz prędzej
A zawsze byłem tam: z książkami w płóciennej torbie,
Gapiący się na brązowe pagórki za wieżami świętego Jakuba,
Gdzie rusza się drobny koń i drobny człowiek za pługiem,
Najoczywiściej od dawna nieżywi.

Około dziesięć lat później w Dzwonach w zimie nie pisze Pan już jednak o odejściu, ale o powrocie w chwale. Kiedy właściwie zaczęły się Pańskie powroty?

— Owe powroty to nic innego jak tylko powroty pamięcią. Znalazłszy się za granicą w wielkiej dezorientacji duchowej w pewnej chwili zorientowałem się, że przecież mam dziedzinę, do której mogę wracać. Pamięć stała się w moim przypadku swego rodzaju źródłem pisarskiego kapitału; niekoniecznie czymś, co wyzwala nostalgię emigranta. W rezultacie powstała między innymi powieść *Dolina Issy*.

Każdy korzysta ze swojego życiowego kapitału doświadczeń. U mnie łączyło się to z uporem, aby wprowadzić do literatury moją część świata, z jakichś powodów nie pisano bowiem wtedy o mojej dziedzinie geograficznej. W

literaturze był to ciągle jeszcze obszar dziewiczy, taki jakim w atlasach geograficznych był w XIX wieku środek Afryki.

— Słowa z „Dziecięcia Europy": „Nie kochaj żadnego kraju: kraje łatwo giną. / Nie kochaj żadnego miasta: łatwo rozpada się w gruz" — to oczywiście ironia, głos w jakimś dialogu wewnętrznym...

— Tak. To gorzki wiersz. Mowa w nim o wszystkich zniszczonych miastach. Nie myślałem specjalnie o Wilnie. Dziś pewnie bym to zdanie trochę zmodyfikował. Trzeba kochać miasta i mam ogromny szacunek dla ludzi, którzy byli opętani miłością do swoich miast. Był człowiek, który się nazywał Jerzy Orda, potomek znanej arystokratycznej rodziny w Wielkim Księstwie Litewskim. Był zakochany w architekturze Wilna i znał na pamięć całą historię Wilna. Cała inteligencja polska wyjechała z Wilna, czemu się trudno dziwić, bo woleli jechać do Polski niż na białe niedźwiedzie, a on został. Drugi przykład to mój kolega z czasów wileńskich, Litwin, malarz, Drema, który wydał wspaniały album poświęcony Wilnu w dziełach sztuki. Nawiasem mówiąc, jest to jedyny człowiek z tamtych czasów, którego teraz, będąc w Wilnie, spotkałem. Te przykłady wielkiej miłości do miast są dla mnie czymś bardzo budującym.

— Czy wracając pamięcią do czasów litewskich myśli Pan przede wszystkim o Wilnie, czy o Szetejniach, którym w ostatnim zbiorku poświęcił Pan wiersz? Są to przecież dwa różne okresy w Pańskim życiu i dwa różne doświadczenia.

— Zupełnie różne. Kiedy wspominam dom, myślę przede wszystkim o Szetejniach i o powiecie kiejdańskim.

— O krajobrazie?

— Przede wszystkim o krajobrazie. Nie spodziewałem się, że krajobraz zapamiętany w dzieciństwie może pozostawić po sobie tak głęboki ślad.

— Był Pan niedawno w Szetejniach. Jak wypadła konfrontacja?

— Napisałem tam wspomniany już wiersz. Jest to właściwie wiersz o matce, która tam się urodziła i tam się wychowała. Podobnie zresztą moi dziadkowie i pradziadkowie; wszyscy mieszkali w powiecie kiejdańskim. Wiersz ten mówi wszystko.

— Jest w nim fragment opowiadający o tym, co pozostało z tamtych krajobrazów w sensie materialnym. Pisze Pan o wielkiej wiosce pod lasem, którą odwiedził Pan wraz z matką:

> *Poprosiłem kierownika kołchozu, żeby pokazał mi tę wioskę, zawiózł na pola puste aż po las i zatrzymał auto przed dużym głazem.*
> *„Tu była wioska Peiksva", powiedział nie bez triumfu w głosie, jak to u tych, co są zawsze z wygrywającymi.*
> *Zauważyłem, że jedna część głazu była odłupana, próbowano więc rozbić kamień młotem, żeby znikł nawet ten ślad.*

Zgodnie z wyznaniem wiary w apokatastazę, które złożył Pan w poemacie „Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada", wszystko to jednak ma kiedyś powrócić do dawnego kształtu.

— Czytam teraz książkę (trochę zwariowaną) astrofizyka, który opiera się na ostatnich badaniach Hawkinga. Dlaczego zajmujemy się ciągle przeszłością? — pyta autor; trzeba zajmować się przyszłością. Mamy przed sobą biliony..., biliony lat życia biologicznego, a potem nastąpi powrót do punktu Omega.

— Z czego bierze się owa widoczna w Pańskiej twórczości potrzeba ocalania rzeczy, opisywania ich w najdrobniejszych szczegółach? Czy jakiś udział miała w tym emigracja?

— To chyba wrodzona skłonność.

— Wspomina Pan gdzieś, że już na maturze pisał Pan o Heraklicie i rzece czasu.

— Tak, już wtedy. A na emigracji robiłem to trochę inaczej niż inni. Pożyteczne byłoby zestawienie z tym, co drukowały „Wiadomości". Kiedy przedwojenne „Wiadomości Literackie" znalazły się na emigracji i przekształciły w wydawane w Londynie „Wiadomości", przeszły ogromną metamorfozę, musiały bowiem zaadoptować się do publiczności zupełnie innej niż ta, która czytała je przed wojną. Pojawiło się wtedy na ich łamach wiele upiększających przeszłość wspominków, które mnie po prostu irytowały. Przychodziłem z zupełnie innej strony. Mój stosunek do Litwy nie był nostalgiczny, tak jak nie było nostalgiczne dzieło Prousta. Ta subtelna różnica godna jest odnotowania.

— Czy pisarz nie ma prawa upiększać?

— Czasami skłaniają do upiększeń wymogi formy. W każdej twórczości jest bowiem element baśni. Ja nawet robię sobie czasami wyrzuty, że w *Dolinie Issy* pewne rzeczy przeniesione są w wymiar baśniowy.

— W „Roku myśliwego" zestawia Pan swoje pisarstwo z twórczością Singera. W jego książkach też widoczna jest dążność do utrwalenia szczegółów a jego stosunek do przeszłości również trudno nazwać nostalgicznym.

— Singer opowiada w swojej biografii, że kiedy znalazł się na emigracji w Nowym Jorku, przez jakieś dziesięć lat był w ogromnym kryzysie i nie mógł pisać. Dopiero gdy kultura żydowska w Polsce znikła wraz z Żydami, odkrył swój prawdziwy wymiar. Zrozumiał, że przecież nie ma nikogo, kto może o tym pisać, że nie ma innych świadków. Nie wiem, na ile to jest anegdotą, ale ktoś podobno zapytał go kiedyś, dlaczego pisze w jidysz. Odpowiedział: Po sądzie ostatecznym, kiedy umarli zmartwychwstaną, zapytają najpierw, czy jest coś do czytania.

— Przy Pańskim przywiązaniu do szczegółów zapamiętanych z przeszłości czuje się jednak zawsze otwartość na rzeczy nowe.

— Moja poezja była zawsze bardzo erotyczna, to znaczy zwrócona ku sensualnym doznaniom, bo świat widzialny jest niesłychanie bogaty i niewyczerpany. Może ja nawet całe życie byłem voyeurem?...

— Byłoby w tym jakieś pokrewieństwo z Gombrowiczem.

— Paralele takie dostrzegał Jeleński. Tylko że Jeleński twierdził, iż Gombrowicz był cały pokręcony, ja natomiast stanowiłem jedność pasji i poezji. To nieprawda. Uważam się za pokręconego bardziej od Gombrowicza.

— Skoro mowa o świecie widzialnym: we wstępie do Roku myśliwego pisze Pan, że Pańską zwierzyną był cały świat widzialny i życie poświęcił Pan próbom uchwycenia go słowami czy też trafienia go słowami. Ale przecież Pan ten świat nie tylko opisywał. Czasami wymierzał mu Pan sprawiedliwość. Jak Pan dzisiaj widzi swoje dawne polemiki, utarczki, batalie?

— Nigdy nie chciałem wymierzać sprawiedliwości, ale przeżywałem chwile wielkiego gniewu, które ciągle mnie nawiedzają. Jakieś dwa lata temu napisałem „wściekły" wiersz o Sarajewie. To jest moja słabość. Nie mogę się powstrzymać od reagowania gniewem w pewnych sytuacjach.

— *Na ile czuje się Pan zaangażowany w sprawy polskie?*

— Interesuje mnie właściwie wszystko, co dzieje się w Polsce, ale w sposób szczególny czuję się związany ze środowiskiem Uniwersytetu Jagiellońskiego.

— *Bierze Pan także udział w organizowanych w Polsce konferencjach i dyskusjach. Czy śledzi Pan również to, co dzieje się na rynku wydawniczym?*

— Staram się śledzić wszystko, co dzieje się w kulturze i bardzo martwi mnie brak książek, które mogłyby konkurować z zalewem tłumaczeń z angielskiego. Mamy Kraszewskiego, Rodziewiczównę i różne wyrafinowane utwory, które chętnie nazwałbym „literaturą wypimpiszoną", ale gdzie jest polska powieść? Pozostaje smutnym faktem, że polska obserwowana rzeczywistość nie istnieje w powieści. Może co najwyżej w opowiadaniach Huelle... Z tym większym zapałem czytam powieści pani Musierowicz, która pisze dla podlotków o problemach sercowych dziewcząt między piętnastym a osiemnastym rokiem życia. Są w tych powieściach realia, dlatego jestem ich wielkim admiratorem.

— *Jak ocenia Pan zmiany w świadomości literackiej poetów polskich, jakie dokonały się w ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci; szczególnie te po roku 1989?*

— Odpowiem krótko: Zupełne upolitycznienie w latach stanu wojennego i zupełny konformizm solidarnościowo-patriotyczny. Po 1989 całkowite od tego odejście.

— *Jak Pan widzi przyszłość literatury polskiej w nowej postkomunistycznej rzeczywistości, skoro niektóre tematy się wyczerpały, inne zdewaluowały? Dziś przecież nie można wypłynąć tylko dlatego, że zajmie się słuszną, bądź niesłuszną postawę polityczną, czy też uderzy w słuszny, patriotyczny ton...*

— Może jestem złym prorokiem, ale wydaje mi się, że nastąpi powrót do postaw bohemy, Flauberta i im podobnych. Jeśli znajdą się prawdziwi pisarze, będą próbowali opisać rzeczywistość, tak jak Flaubert próbował ją opisać w *L'Education sentimentale* czy w *Madame Bovary*. Powieść jako gatunek opiera się na obserwacji i opisie stosunków pomiędzy jednostkami. Opisuje stosunki pomiędzy członkami rodziny, mężczyznami a kobietami; wszystko w powiązaniu ze sprawą zarobków, pieniędzy, pracy. Polska literatura natomiast od lat zajmowała się wielkimi problemami społecznymi i była zakorkowana w

problematyce polityczno-historycznej. Nawet *Lalka,* była w gruncie rzeczy powieścią o Polsce, nie o ludziach.

— *Czy w podobny sposób zdefiniowałby Pan swoje oczekiwania wobec literatury powstającej na emigracji? Czy w przyszłości będzie w ogóle można mówić o literaturze emigracyjnej? Czy może ona żywić się rzeczywistością emigracyjną? Jeśli tak, czy ma coś do ocalenia i jest w stanie wnieść do kultury coś nowego?*

— Istnieje w Ameryce literatura poszczególnych grup etnicznych: japońskoamerykańska, chińskoamerykańska, powstaje ona jednak w języku angielskim. Inne języki jakoś do tej sfery nie przenikają. Muszę jednak wspomnieć o czymś, co zostało napisane w języku polskim i zrobiło na mnie swego czasu spore wrażenie. Dużo się zastanawiałem nad losami kolejnych fal emigracji i czytałem wspomnienia emigrantów włączone do redagowanych przez Chałasińskiego *Pamiętników Polaków*. Niektóre opublikowane tam wypowiedzi były wstrząsające. Można by polecić tę lekturę wszystkim, którzy chcą przekazać jakieś świadectwo o rzeczywistości emigracyjnej. Jest to na pewno droga, którą warto próbować pójść.

Październik 1993.

Nota edytorska: Rozmowa ukazała się po angielsku w 1996 roku w „Periphery, Journal of Polish Affairs" (rocznik II) nr 1/2, s. 57–59. Wiersz *W Szetejniach* pochodzi z tomiku *Na brzegu rzeki*, Kraków: Wydawnictwo Znak, 1994 s. 75. Wszystkie inne przywołane w rozmowie utwory poetyckie Miłosza znaleźć można w zbiorze *Wiersze*, Kraków: Wydawnictwo Znak, 1993. *Rok myśliwego* (pierwsze, przywołane wydanie w Instytucie Literackim w Paryżu, 1990) dostępny jest również w edycji Wydawnictwa Znak, Kraków, 2001.